

MICHAŚ

WYWIAD RZEKA Z MICHAŁEM URBANIAKIEM

JACEK GÓRECKI

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Jacek Górecki

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2024

NA POCZĄTKU BYŁ JAZZ

„Sny są jedyną rzeczywistością”, mawiał Federico Fellini. We śnie możesz wszystko. Improwizować. Podskakiwać na kilkutyśnięczki. Nosić długie wąsy z mleka. Mieć wszystko. Mieć każdego. Mieć i być. Możesz odbyć nieodbyte rozmowy albo te w czasie dawnym urwane dokończyć. Przerwane objęcia we śnie się scalają. Sklejają lepkiem lepem. Zapomnienie zamienia się w uszanowanie. Przegrana w zwycięstwo. Wczoraj w jutro. A podróż na mroźną Północ jest upalnym Południem. Ludzie się godzą, przebaczą, mówią najpiękniejsze słowa, nierzadko mówią po raz pierwszy: „Kocham cię”. W takim śnie masz władzę nad swoim życiem. Tylko we śnie możesz dokonać największego. Osiągnąć spełnienie. Odpowiedzieć na pytanie o sens życia. Takim snem jest niewątpliwie życie Michała Urbaniaka. Artysty. Jazzmana. Prekursora. Niepoprawnego romantyka. Momentami bluźnierczego. Niewinnego marzyciela. Czarodzieja dźwięków. Stworzonego z kobiet. Możliwe, że podobnie jak w przypadku Felliniego, Urbaniak jest kobietą. A przynajmniej jego dusza. To cholerny wrażliwiec. Amerykanin urodzony w Warszawie, wychowany w Łodzi. Ale przede wszystkim człowiek, który kocha. Kocha życie. Hedonista. Smakosz. Dla niektórych bluźnierca.

Pomysł dotknięcia Michała Urbaniaka pojawił się jesienią 2021 roku. Jesienne liście jak w szlagierze Josepha Kosmy potrzą-

sał wiatr. Spotkaliśmy się wtedy podczas jakiegoś wywiadu, do jakiejś gazety. Tytuły nie mają znaczenia. Wszystko tylko gdzieś, coś, na chwilę, na moment. Podczas tego spotkania zrozumiałem, że ta jedna rozmowa wymaga rozszerzenia. Powiększenia. Dotykam bowiem autorytetu, a o autorytetach się zapomina. Jerzy Trela, wybitny aktor, powiedział kiedyś: „Nie róbcie z teatru hamburgera”. I właśnie o ten szacunek i autorytety cały czas mi chodzi. Żeby ocalić od zapomnienia... Żeby prowokować kolejne pokolenia do zaglądania tam, gdzie się nie zagląda. To tak jak z legendarną primabaleriną Niną Novak, baletmistrzynią oraz pedagogką Ballet Russe de Monte-Carlo, która otworzyła znaną na cały świat szkołę baletową w Caracas. Cały świat oprócz Polski. Kiedy spotkałem się z nią na rok przed jej śmiercią, opowiadała mi, że ma żal do kraju, w którym się urodziła, a w którym czuje się niepotrzebna, zapomniana, nieznana. Niepamięć jest początkiem końca. Początkiem zagłady. A jak powiedziała mi niegdyś Gołda Tencer: „Dopóki jest pamięć, jest człowieczeństwo”.

O Michale Urbaniaku ponad dziesięć lat temu powstała już jedna książka – *Ja, Urbanator. Awantury muzyka jazzowego*. Wybitnie napisana przez Andrzeja Makowieckiego. Dla mnie ważne było, by dopuścić do głosu człowieka, bez autocenzury, bez niewygodnych tematów. Zadać mu przy okazji jubileuszu osiemdziesiątych urodzin najważniejsze pytania i podotykać wspólnie takich haseł jak miłość, ojczyzna, śmierć, rozczarowanie, sukces, pieniądze, zdrada. Kiedy okazało się, że zaczynamy pracę po snach Michała, jego pamięci, wiedziałem, że interesuje mnie tylko on. Jego głowa. Dusza. To, co chce powiedzieć, wykreować, przemilczeć. Interesują mnie jego prawdy i wersje wydarzeń. Jego fantazje na swój własny temat. Wszystkie żony, dzieci, przyjaciele, przechodnie na ulicy, osoby trzecie, czwarte i dalsze w epokach zostawiam na zdjęciach. Na wersalkach, w krynolinach, całodobowych imprezach do rana. Nieruchome. Wychodzę z założenia, że biografie nie

mają w sobie wiele z prawdy. Są fantasmagorią autora, popisem i wersją wydarzeń wielu ludzi. Często to, co czytamy, jest tylko ułamkiem wyrzuconej treści, niezgodną z wizerunkiem brudną plamką, rąbkiem spódnicy. Przez lata pracy zrozumiałem, że jedyną i prawdziwą rozmowę otrzymuję tylko ja. Na miejscu. Na gorąco. Na tu i teraz. A potem wchodzi autocenzura, która na kanapach w telewizji śniadaniowej lśni, uciekając od prawdziwego zdania, łąpiąc się na poprawności politycznej. Autokreacja.

Michał mógłby być moim ojcem. Może nawet dziadkiem. W końcu w papierach różnica wieku między nami jest imponująca. Jednak tu nie chodzi o liczby, ale o powiązanie. A związaliśmy się na tyle silnie, że pomiędzy rozmowami padły słowa najważniejsze, których tu nie ma. Nie ma. Nie wszystko jest na sprzedaż. Dla wielu sprzedajemy tu i tak za dużo, bo lepiej jest milczeć. Ale Michał Urbaniak jako człowiek stworzony z jazzu nie ucieka od niewygodnych tematów, ma własne zdanie, a to w dzisiejszych czasach nie jest powszechne – dla mnie jest to wartość. Zdanie dla wielu mocne, kontrowersyjne, przemyślane, mądre, inspirujące – niech każdy dopisze, co chce. Ale je ma. Oddaję w wasze ręce zbiór dziesięciu rozmów, które – niczym przykazania – mogą być zarówno inspiracją, jak i – w wielu wypadkach – przestrożą. Przede wszystkim wierzę, że będą pretekstem do rozmowy i próbą odpowiedzenia sobie na pytania: kim jestem?; kim chciałbym być?; a kim inni chcą, żebyśmy byli? No i słuchajcie jazzu! Urbaniaka też.

Michal Urbaniak
Body English



I

LEGENDA



Masz świadomość tego, kim jesteś?

Jestem Michałem Urbaniakiem, wszelkie hasła typu „legenda” mnie nie interesują. Oczywiście, znam swoją wartość i ciągle się szczypię, sprawdzam, czy aby przypadkiem moje życie to nie sen. Sen, który nad ranem nagle zamieni się w brutalną rzeczywistość. Piękny sen o wesołym miasteczku, w którym dziecko z otwartą buzią zalicza po kolei wszystkie atrakcje, od różowej waty cukrowej, gigantycznych lodów z polewą czekoladową po gabinet strachu i diabelski młyn. Rollercoaster. Kiedyś Roman Polański powiedział mi, że życie to jest cyrk. I ja się z nim zgadzam. W tym cyrku występuję jako Michał Urbaniak.

Federico Fellini mawiał, że sny są jedyną rzeczywistością. O czym teraz śnisz?

Zaczynamy nasze rozmowy pod koniec pandemii, w czasie, kiedy za wschodnią granicą toczy się wojna. Rosja zaatakowała Ukrainę. Cyrk! I jak widzisz po moich oczach, to pytanie mnie wzruszyło, bo śnię teraz o niemożliwym. Od paru miesięcy prześladowuje mnie taki sen, w którym nie mogę grać, nie potrafię wydobyć żadnego dźwięku. Męcę się, pocę i nic. Cisza. Zabijająca cisza. Paraliżują-

ca cisza. Kiedyś obudziłem się w środku nocy z krzykiem, poczuciem, jakby ktoś mi coś zabrał, wyrwał ze środka coś, bez czego nie oddycham. Serce. Duszę. Mnie. Urbaniaka. A potem spostrzegłem, że tak się rzucałem we śnie, że rozbiłem stojącą na stoliku nocnym lampę. Miałem w tym czasie w snach wiele powrotów do przeszłości, spotkań z moją mamą, Nowym Jorkiem, kolegami z Ameryki. Sny pomagały mi przetrwać ten okres. Kiedyś przyśnił mi się Herbie Hancock, z którym grałem tak jak dawniej; zapytałem go podczas naszej garażowej próby, czy zagramy wspólnie jakiegoś mazurka, on rozłożył ręce, że nie zna nut, i się obudziłem.

A dzisiaj co ci się śniło?

Wygrana w lotto. Siedemdziesiąt jeden milionów, które postanowiłem przeznaczyć na stypendia dla młodych skrzypków. To był akurat piękny sen, ale wiadomość o wygranej mogła doprowadzić mnie we śnie do zawału. Żyję, chociaż też mocno się napociłem!

Jak poruszasz się po obecnej rzeczywistości?

W ostatnich trzech latach po raz pierwszy w życiu byłem sparaliżowany na granie. Spuchły mi palce, miałem problemy reumatologiczne. A przecież zdarzały się takie momenty w moim długim życiu, że grałem bez przerwy, po kilka tygodni. Mówię o tym dlatego, że nierzadko śledzimy losy artysty, który dochodzi do takiego punktu w życiu, że ciało odmawia mu posłuszeństwa i nie może tworzyć. To jest paraliż. Zderzenie się ze ścianą. Koniec. I co mu wtedy zostaje? Gapienie się w okno? Przeglądanie wspomnień, tego, co było i nie wróci? Nie dla mnie takie atrakcje. Jestem typem człowieka, który nie może mieć za dużo wolnego czasu, wtedy wkrada się niepotrzebne myślenie, a ja za dużo myśleć nie mogę, bo się w tym gubię i zatracam. Moje serce nie ma rozumu, kieruje

się uczuciami. Wiąże się to niejednokrotnie z konsekwencjami, ale taki już jestem kochliwy. Kocham życie i czerpanie z niego pełnymi garściami. Dlatego nieustannie i permanentnie muszę tworzyć.

Jesteś trochę masochistą, lubisz życie na krawędzi.

Może nie na krawędzi, ale w zawrotnym tempie, a to jest różnica. Szybko, ale bezpiecznie. Tego nauczył mnie Nowy Jork: jak nie pędzisz, nie dobiegniesz do celu jako pierwszy. Co ciekawe, jako dziewięciolatek narysowałem z kolegą projekt pociągu, który pomiędzy Łodzią a Warszawą jeździłby za darmo. Lokomotywa na koło zamachowe rozpędzalaby pociąg. Lubię tempo, adrenalinę, kreowanie, wymyślanie, szukanie odpowiedzi. Takie dziwaczne pomysły, jak ta lokomotywa, do dzisiaj chodzą mi po głowie. Niestety, często przez to się nie wysypiam. Jest noc, a ja włączam komputer, sprawdzam pocztę, notuję szkice muzyczne i nim się położę, słońeczko za oknem.

Pandemia nie była dla ciebie łaskawa.

Tuż przed pandemią zarysował się plan: Warner Bros miał robić o mnie film dokumentalny, trasę koncertową miałem zaczynać od Blue Note w Nowym Jorku, a w maju mieliśmy lecieć na dokumentację. Przyszedł lockdown. Plany zaczęły się rozwiewać. Początkowo covid nawet mnie ucieszył. Dostałem wolny czas, który chciałem przeznaczyć na to, czego nie mogłem zrobić, będąc przez sześćdziesiąt lat w trasie koncertowej. Uporządkowanie całego archiwum, napisanie nowych nut, przeorganizowanie studia, dokręcanie jakichś niedokręconych rzeczy. Chuj. Nic z tego nie wyszło. Trzy tygodnie później wstawałem właściwie po to, żeby się położyć. Przeleżałem wiele dni, oglądając kanały informacyjne,

zapadając w dość długi zimowy sen. Kiedy w tym czasie dzwonił do siebie z Wojtkiem Karolakiem, często śmialiśmy się, że jesteśmy w jakimś marazmie telewizyjnym. I tak mijały noce i dni, pogoda za oknem nie miała znaczenia, nic mnie nie motywowało, aż w końcu od tego spania wysiadło mi serce. W ciągu ostatnich kilkunastu lat przeszedłem dwanaście operacji. Serce, przepuklina, biodra, sprawy, które mnie do tej pory nie dotyczyły. Nigdy wcześniej nie miałem czasu na chorowanie. Grałem koncerty z gorączką, wzmacniając się piwem z wódką, i byłem niezniszczalny jak Kapitan Ameryka! Aż tu nagle piżamka i Michaś kładzie się do szpitala. Nie dla mnie chorowanie i leżenie w łóżku!

Muzyka jako narkotyk twojego życia, wierna kochanka, nie pomogła ci się z tego wydostać?

Muzyka po raz pierwszy zeszła na bok. Zakładałem słuchawki i zaczynałem oglądać TVN24 lub CNN. Skakałem po kanałach informacyjnych i popadałem we frustrację przez świat, który rozpada się na kawałki. I z pozycji leżącej, w izolacji, zamknięciu nie da się tego świata poskładać. Na koniec byłem już tak zmęczony ciężarem tragedii i beznadziejnych wiadomości, które płynęły ze wszystkich stron, że nie miałem siły na muzykę. Nie dziwię się, że wielu ludzi cierpi na depresję, samotność to najpotężniejsza choroba XXI wieku. Wina w dużej mierze leży właśnie po stronie mediów, które bombardują nasze umysły przygnębiającymi informacjami, nie ma miejsca na pasję i opowieść o sztuce. Edukacja stała się wrogiem społeczeństwa. Gdyby zamiast ciężkich, smutnych newsów stworzyć program o muzyce, jazzie, przyrodzie czy historii świata, ludzie nie byłiby tacy zdołowani życiem, a wręcz przeciwnie, byłiby go ciekawi.

Bezpieczniej jest nie wiedzieć?

Nie chcę narzekać, bo spotykam na swojej drodze wielu ludzi, z którymi prowadzę świetne rozmowy, młodych, którzy mnie inspirują i zaskakują, odkrywając przede mną muzykę, o której nie wiedziałem. Lubię nowości i lubię być zaskakiwany. Ale w temacie mediów, kanałów informacyjnych, telewizji śniadaniowych i tak dalej jest niestety źle. Sprzedaje się popelina, autorytety są zasy-pywane popiołem. Jak nie pokaże się gołej dupy czy kilku trupów, to nie ma programu, telewizja nie istnieje. A gdzie wartość, edukacja?

Nie zapomnę, jak prezenterka w telewizji śniadaniowej jednym tchem poinformowała o śmierci wielkich mistrzów teatru, Jerzego Treli i Ignacego Gogolewskiego, po czym szybko przeszła do gorących newsów z burzliwego życia Britney Spears.

Ogłupianie zastąpiło wartość. Takim ludziom jak Jerzy Trela powinno się poświęcić pół programu. Czasem mnie korci, żeby stworzyć jakiegoś newsa na pierwszą stronę wszystkich tych szmatławców, które podekscytowane będą go przedrukowywać, a potem pokazać środkowy palec i powiedzieć, że to był żart.

Niedawno w mediach pojawiła się informacja, że umierasz.

Byłem w szpitalu w Aninie na zabiegu, ktoś powiedział dwa zdania za dużo i poszła wiadomość do mediów, że trzeba się za mnie modlić, bo umieram. Dusia, moja żona, miała telefoniczny armagedon przez trzy dni. Uprzedziła mnie, że zaczną wydzwaniać z dziwnymi pytaniami. Jurek Owsiak przyjechał do szpitala sprawdzić, co się dzieje. A ja nie umarłem. Zmartwychwstałem i mam ochotę na dużo szaleństwa.

Przeczytałeś kiedyś o sobie coś, co cię zabolalo?

Mam do tego dystans, więc mnie to nie boli. Może jedyne, co jest uciążliwe, to artykuły o moim stanie zdrowia, bo wtedy zaczynają się niekończące się telefony od bliskich znajomych i tych, którzy przez lata do mnie nie dzwonili. A tu nagle telefon, żeby zapytać, jak się czuję. I każdemu trzeba tłumaczyć, jak jest naprawdę. Wszystkich, którzy chcieliby mnie pochować, informuję, że saksofony zaczęły z powrotem fruwać, a walizki ciągle się nie domykają. Nie zamierzam zejść ze sceny.

W książce *Ja, Urbanator. Awantury muzyka jazzowego*, wydanej dwanaście lat temu, autorstwa twojego przyjaciela z dzieciństwa, Andrzeja Makowieckiego, wyznajesz: „Jestem Amerykaninem”. Ale Ameryka w ostatnich latach oddala się od ciebie.

Przez cały okres pandemii ciągle zadawałem sobie pytania: „Co ja robię w Polsce?” i „Po co tu jestem?”. Zadzwoiłem nawet kiedyś do Uli Dudziak, mojej pierwszej żony, z którą cały czas mam dobry kontakt. Zacząłem się jej zwierzać, że ta pandemia i zamknięcie mnie niszczą, a przez to wszystkie choroby, które się uaktywniły, mnie wykończą. Ona mi wtedy nakazała: „Pakuj się i zapierdalaj na lotnisko!”. Nie było to możliwe z powodu mojego stanu zdrowia. Powiedziałem jej, że brakuje mi grania w Ameryce, że przez chorobę boję się sięgnąć po instrument. Krzyknęła wtedy na mnie, że jak to, ja nie dam rady? „Przypomnij sobie, ile razy się podniosłeś”. Nieraz się budzę i myślę, żeby się spakować i uciec.

Wiesław Myśliwski napisał, że niezwykle ważne jest mieć poczucie, że ma się dom. Niekoniecznie musi to być ten, z którego pochodzisz. Podobnie jak z ojczyzną – trzeba znaleźć taką, która jest

nasza, niekoniecznie tę, w której przyszliśmy na świat. Gdzie jest twój prawdziwy dom?

Ze mną nie da się w Polsce zbudować domu, a może właściwie nigdzie się nie da skonstruować tak solidnych ścian, które zatrzymałyby mnie na zawsze. Chociaż miejsce, które stworzyliśmy z Dosią na warszawskiej Woli, daje mi poczucie bezpieczeństwa i jest podstawą do tego, bym mógł się spełniać. Mój pierwszy dom jest jednak w Nowym Jorku. Domem jest miasto, dzielnice są pokojami, a ludzie moimi sąsiadami, do których zawsze mogę zagaść. Nie potrzebuję ścian, potrzebuję wolnej przestrzeni Manhatanu. Być może za bardzo żyję przeszłością. Ale to Ameryka była moim życiowym marzeniem, które się spełniło. Dlatego obecna rozłąka z nią jest niełatwa. Mija rok, mijają dwa, trzy lata, moi przyjaciele odchodzą, osoby, z którymi grałem, znikają z mapy Nowego Jorku i powrót do jądra i sensu życia się oddala. Jest jak odpływający statek na oceanie; ten statek z czasem jest coraz mniejszy i tracimy go z zasięgu wzroku.

A statek płynie... Szybko się wypada z tej amerykańskiej gry?

Jeśli masz na myśli pracę i biznes, to bardzo szybko. Agent dwa czy trzy razy zadzwonił z propozycją koncertu, ale jak mu odpowiadasz, że nie możesz, to już czwarty raz nie zadzwoni. Zadzwoni do kogoś innego. Poza tym pojawiło się nowe pokolenie, piekielnie zdolna młodzież, która zajmuje miejsca moich kolegów. Jednak nie zamykam się na przyszłość, ona mnie intryguje, pociąga. Mam świetny kontakt z młodymi muzykami, lubię im się przyglądać, jak zaczynają, jak szukają swojego miejsca w jazzie, muzyce. I jeśli dzwoni do mnie raper, który współpracuje ze Snoop Doggiem, to dla mnie znaczy więcej niż wszystkie osiągnięcia w młodości, bo widzę, że nowe pokolenie muzyków sięga po moją twórczość.



Z Markiem Pędziwiatrem

Takich przykładów jest jeszcze więcej, w ostatnich latach Urbanika samplowali: J. Cole, Q-Tip, Beastie Boys, Eminem, A Tribe Called Quest... A w ostatnich tygodniach utwór *What a Day* nowej ikony hip-hopu, którą bez wątpienia jest Tyler, the Creator, to właściwie w całości zsamplowany twój kawałek *A Day in the Park*!

Nie ma nic ważniejszego dla twórcy niż bycie aktualnym, świeżym i potrzebnym. Kiedyś takie tuzy jak Marcus Miller zaczynały w moim zespole, żeby wzbic się w powietrze i do dziś, z wielkimi sukcesami, unosić się bardzo wysoko. Cieszę się, że na polskiej, nieco skostniałej scenie jazzowej rządzą EABS i Błoto, w których króluje Marek Pędziwiatr. Chłopak, który wiele lat temu jako szczeniak pojawił się na Urbanator Days i brał udział w moich warsztatach. On jest przyszłością.

A czy czujesz się w tym kraju potrzebny jako artysta?

Od jakiegoś czasu jestem często blokowany na socialach czy Twitterze za moje wpisy. Mój największy problem polega na tym, że nie wiem dokładnie, po co jestem w Polsce. Przyleciałem tutaj, żeby dzielić się moim doświadczeniem, bo taką czuję misję. Nie chcę spijać śmietanki, odbierać nagród czy chodzić z wysoko podniesioną głową. Interesuje mnie wymiana myśli i dzielenie się tym, czego naprawdę się nauczyłem przez te już prawie pięćdziesiąt lat. Polityka w kulturze?!

Ale przecież otrzymałeś srebrny medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis.

To było jeszcze za czasów poprzedniej władzy. Złoty też otrzymałem, a w zasadzie to nie... W czasie pandemii byłem w szpitalu w Aninie na rehabilitacji. Do Dośki zadzwoniła przedstawicielka łódzkiej organizacji kultury, która chciała nas poinformować, że zgłoszono mnie do złotego medalu Gloria Artis. Pan minister przyznał to odznaczenie. Wyznaczyli termin wręczenia, dokładnie pamiętam, to miał być piątek o godzinie siedemnastej w Filharmonii Łódzkiej. Mój pobyt na oddziale się przedłużał, więc poprosiliśmy, aby w moim imieniu medal odebrała pani prezydent Łodzi Hanna Zdanowska, która bardzo się ucieszyła na moją propozycję. Następnego dnia otrzymaliśmy telefon zwrotny, że w takim razie poczekamy na to, aż będę mógł odebrać odznaczenie osobiście. I sprawa do dzisiaj jest wyciszona.

Nie znalazła się żadna inna okoliczność?

Jak mogła się znaleźć, skoro miałem taką oto sytuację: rok czy dwa przed pandemią grałem koncert z Wojtkiem Karolakiem na dzie-



dzińcu gmachu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego na Krakowskim Przedmieściu. Dowiedziałem się, że w budynku jest pan minister, bo ma okna otwarte i ludzie pana ministra widzieli... Koncert się skończył i spodziewałem się, że przyjdzie do nas i się przywita, w końcu byłem u niego gościem. Nic z tego, wszedł do swojej limuzyny i odjechał.

Medalu nie masz do dziś.

Pieprzę ten medal, i tak bym go nie przyjął z rąk Glińskiego, ale tu chodzi o to, w jaki sposób oni traktują ludzi kultury, którzy przysłużyli się wielkiej promocji tego kraju za granicą. Finał tej historii jest taki, że dostaliśmy niedawno telefon od pani ze stowarzyszenia, które mnie nominowało do tego medalu, z pytaniem, co ona ma z nim zrobić. Jak zapytała, czy może go wysłać pocztą, to zdębiałem! Odpowiedziałem, że mogę go odebrać na jakiejś stacji Orlenu!

W mediach nie istniejesz?

Bywam. Ale nie godzę się na występy w telewizji publicznej i Polskim Radiu, a stacje komercyjne ostatnio boją się jazzu. Telewizja i radio mnie nie grają. Bawią mnie polskie media, które czasem robią ze mnie figurę, czasem legendę, a czasem muzyka z Polski, który pozuje do zdjęć z wpływowymi artystami, żeby podbić swoją popularność. Tak było kilka lat temu, kiedy do Polski przyjechał Nigel Kennedy, dziś jeden z ciekawszych skrzypków, absolwent nowojorskiej Juilliard School, z którym znam się od 1982 roku. Wówczas przychodził na moje grania w nowojorskich klubach, żeby podpatrywać i uczyć się ode mnie. Po koncercie w Warszawie postanowiłem, że pójdę za kulisy i przywitam się z nim. Ucieszył się i od razu zaproponował mi szampana, do którego on dolewał sobie nieco spirytusu. Napiliśmy się, umówiliśmy na wspólne granie i przy okazji zrobiliśmy sobie zdjęcie, które wylądowało w sieci. Pod zdjęciem pojawiły się komentarze, że nie ma to jak promować się pod znanymi nazwiskami.

Bolą cię takie komentarze?

Po prostu nie mogę się nadziwić, dlaczego Polacy są tak skostniałym i sfrustrowanym narodem. Ten sam Nigel Kennedy wywołał skandal, grając z orkiestrą w Filharmonii Narodowej w Warszawie. Jak na poważny budynek i towarzystwo w czarno-białych eleganckich garniturach przystało, wszystko miało być po bożemu, z namaszczeniem i szacunkiem do świątyni muzyki poważnej. Nagle na scenę wychodzi Nigel: niewysoki, szczupły, w zielonej brokatowej marynarce, w przykrótkich, świetnie skrojonych spodniach, w butach na koturnie i skarpetkach, które przypominały mi o czasach bikiniarzy. Miał wygolone skronie i połyskujące na środku czaszki, starannie ułożonego irokeza. Wapniaki

i stetryczała widownia byli oburzeni, posypały się komentarze, że to skandal i brak szacunku. A potem zagrał koncert, jakby był opętany muzyką! Byłem nim zachwycony, bo to wielki geniusz, ale Krzysztof Penderecki, zniesmaczony wyglądem wirtuoza, opuścił salę. Wracając do promowania się na znanych nazwiskach, to podobne komentarze pojawiły się przy zdjęciach z Erykah Badu, z którą zobaczyłem się po jej koncercie. Kiedy dowiedziała się od swoich czarnych młodych muzyków, którzy mnie rozpoznali, że grałem na płycie Milesa Davisa, podarowała mi amulet i zrobiliśmy sobie zdjęcie. Na drugi dzień pojawiły się teksty, że chcę się tym zdjęciem wybić. Mało kto wiedział, że to spotkanie miało ciąg dalszy. Zaprosiłem Badu na ostatnią płytę...

Mówisz o swoim ostatnim albumie *For Warsaw with Love*, który powstał w ramach obchodów siedemdziesiątej piątej rocznicy



Na backstage'u z Erykah Badu

wybuchu powstania warszawskiego. Ale Erykah Badu na tej płycie nie ma, w ogóle tej płyty nie ma...

W 2017 roku Muzeum Powstania Warszawskiego zaproponowało mi występ podczas ich festiwalu Niewinni Czarodzieje. Pomimo świetnego koncertu i odbioru już wtedy pojawiły się pierwsze problemy. Ludzie z biura Muzeum sugerowali dobór muzyków, chcąc mieć wpływ na ostateczny skład zespołu. Ponieważ mocno oponowałem, dali mi wolną rękę. Po koncercie, który bardzo się podobał, zaproszono wszystkich na bankiet, na którym był również sam dyrektor Muzeum Jan Ołdakowski. Przy kolejnej lampce czerwonego wina padły propozycje współpracy. Po niemal roku rozmów wreszcie skryształizował się pomysł nagrania płyty na zbliżającą się siedemdziesiątą piątą rocznicę wybuchu powstania warszawskiego. Bardzo mocno się zapaliłem do tego projektu, szukałem klucza, nazwisk, żeby stworzyć coś mojego, a przy okazji oddać hołd Warszawie, w której się urodziłem. Im bardziej zbliżała się rocznica, tym bardziej kontakt z Muzeum zaczął słabnąć, na mejle nie przychodziły odpowiedzi, ale nie zniechęciło mnie to, dalej pracowałem nad albumem. W sierpniu następnego roku po koncercie, który grałem w Centrum Solidarności, podszedł do Dosi dyrektor Ołdakowski i zapytał, czy jego ludzie się już do nas odezwali. Odparliśmy, że od dłuższego czasu jest cisza. Po tej rozmowie projekt z lekka przyspieszył, dostałem umowę i dalej działałem w tej sprawie. Mimo przygotowanego konceptu i ustaleń z muzykami wiedziałem, że nie ruszę z nagraniami, dopóki nie dostanę pieniędzy. Umowę podpisaliśmy w lutym 2019 roku, a płytę mieliśmy oddać do końca maja, żeby zdążyć na sierpniowe obchody. Po podpisaniu wyjechaliśmy do Nowego Jorku pracować nad płytą. I był to jeden z najtrudniejszych okresów mojego życia, okupiony olbrzymim stresem i zdziwieniem.



Nowy Jork, 2019. Z Lennym White'em podczas nagrań do płyty dla Muzeum Powstania Warszawskiego

Co cię najbardziej zdziwiło w tej współpracy?

Całe życie byłem przekonany, że jeśli umawiam się z kimś na coś, to obie strony dokładają starań, żeby wywiązać się z umowy. W tym wypadku robiono wszystko, żeby nie wywiązać się z umowy. Po raz pierwszy w życiu przeszkadzano mi w realizacji płyty. Wszystko zaczęło się od niezaakceptowanego singla, od którego były uzależnione pieniądze na płytę. Przez lata pracy w Ameryce nauczyłem się, że jak nie jesteś na starcie zabezpieczony pieniędzmi, to nic nie nagrywasz. Przez to wszystko czas na oddanie materiału się kurczył, na szczęście wielu moich amerykańskich kolegów czekało, chociaż wcale nie musieli. W umowie mieliśmy taki podpunkt, że Muzeum musi akceptować każdy nasz ruch, co było gwoździem do trumny tego projektu, ponie-



waż akceptacja trwała tak długo, że wszystko wymykało się spod kontroli. Na płycie można usłyszeć zarówno moje kompozycje, jak i interpretacje utworów Theloniousa Monka, Billa Evansa czy Milesa Davisa. Wśród gości byli chociażby Marcus Miller, David Gilmour, Michael „Patches” Stewart czy Lenny White. Na naszej liście znalazła się też Chaka Khan, będąca tuż po premierze swojej najnowszej płyty. Wszystko się opóźniało ze strony Muzeum, w końcu musieliśmy zrezygnować ze współpracy z nią. Skontaktowałem się więc z Erykah Badu, która się zgodziła i była gotowa z dnia na dzień wejść do studia. Akceptacja ze strony Muzeum trwała dwa tygodnie... Jak zaakceptowali Badu, było już za późno, ona nie mogła, ruszyła w trasę koncertową. Sposób traktowania artysty jako wyrobownika i dostawcy gwoździ jest dla mnie zaskoczeniem.

Instytucje kultury w Polsce pełne są przypadkowych ludzi, myślę, że na wielu nazwisko Erykah Badu nie robiło żadnego wrażenia.



Z Herbiem Hancockiem i Dionizym Piątkowskim

Nieodpowiedni ludzie na nieodpowiednim miejscu, którzy nie mieli świadomości, co na tę rocznicę przygotowałem. Arogancja na każdym kroku, chociażby wtedy, kiedy jedna z pań kontaktujących się z nami w sprawie akceptacji kolejnych nazwisk dodała: „A tak, był tam jeszcze jakiś Hancock”. Herbie Hancock, ikona muzyki, jazzman, którego nowatorskie kompozycje stały się standardami, laureat czternastu nagród Grammy i zdobywca Oscara za muzykę do filmu *Okolo północy*, był po prostu „jakimś Hancockiem”. Ta sama pani żądała od nas umowy podpisanej przez Theloniousa Monka. Tylko że Monk nie żyje od 1982 roku i nie wystąpił na płycie, jedynie wykorzystaliśmy jego kompozycje.

Dlaczego doszło do odstąpienia od umowy?

Po oddaniu singla, co było warunkiem następnego przelewu na produkcję płyty, zaczęły się pojawiać trudności dotyczące akceptacji materiału. W końcu zaakceptowano singiel, ale to sprawiło, że kolejne terminy zaczęły się przesuwac. Oddaliśmy master

w ostatniej chwili, dlatego że Muzeum spóźniało się z zezwoleniami i przelewami. W każdym mejlu zapewnialiśmy, że oddamy płytę i uda się ją wyłoczyć na czas. Tak też się stało, zdążyliśmy i płyta miała premierę 26 lipca 2019 roku. Wziąłem nawet udział w konferencji prasowej, na której czułem się jak zło konieczne. Intruz. Ale się nie poddawałem, wręcz przeciwnie, jeszcze w czerwcu, czyli na miesiąc przed premierą, z radością poinformowałem Muzeum, że w ramach koncertu promującego płytę mam możliwość zagrania materiału z Miles Electric Band, zespołem, który nawiązuje do twórczości Davisa i składa się z muzyków, którzy grali z Milesem. Na co otrzymaliśmy odpowiedź, że „Muzeum nie będzie promować Milesa Davisa”. Mój koncert promujący płytę się nie odbył i do dziś nikt nie poinformował mnie o jego odwołaniu.

Premiera płyty się odbyła...

Ale po kilku miesiącach dowiedzieliśmy się od dystrybutora, że Muzeum wstrzymało nakład płyty i od tej pory nie można jej kupić. Koniec tej historii wygląda tak, że po oddaniu płyty wysłaliśmy do Muzeum fakturę, która do dziś nie została zapłacona, a w odpowiedzi dostaliśmy pismo z podpisem dyrektora i informacją, że ponieważ według nich płyta miała wady prawne, to naliczają nam karę finansową. A płytę wydano, była dystrybuowana. Podpisałem płyty dla jej sponsorów, co było dla mnie jednoznaczne z tym, że jest pełna akceptacja projektu. Chwilę przed otrzymaniem pisma spotkałem się z panem Ołdakowskim w kawiarni na rogu ulicy Siennej i Żelaznej. Powiedział mi wówczas, że są te pieniądze w ramach naszej umowy, tylko prawnicy je blokują. To był mój projekt życia, moja historia i tożsamość tego kraju zamknięte w muzyce, która dotarła do amerykańskich czy afrykańskich muzyków, którzy wcześniej o powstaniu warszawskim nic nie wiedzieli.